

Spokojnego nieba nad nami

- transport z pomocą dla Ukrainy

Na początku był strach. „Ty chyba nie jedziesz?! Masz dziecko! Tak, jasne, trzeba wspierać, ale przecież nie można się narażać. Bądźmy odpowiedzialni”. Strach jest usłużny, podsuwa rozsądne argumenty. Czy to coś zmieni w skali ogólnej? Nie lepiej po prostu wysłać pieniądze? Człowiek cywilizowany rzadko angażuje się w działanie bezpośrednie, bo do wszystkiego są odpowiednie służby. Z drugiej strony – cała Ewangelia to historia bezpośredniego zaangażowania, często wbrew ludzkiemu rozsądkowi.

Natalia Karnecka,
współpraca Mikołaj Stadtmüller

Transport z darami dla Ukrainy zorganizowany przez parafię w Sycowie dzięki ogólnokościelnej zbiórce ogłoszonej m.in. w „Zwiastunie Ewangelickim” 21/2022 i na stronie www.luteranie.pl miał miejsce **w dniach 9-11 grudnia 2022 roku**. Zanim wyruszył, wiele czasu zajęły przygotowania – zebranie funduszy, zakupy, szykowanie paczek.

Co komu pisane

Rozbijaliśmy się o niewiadomą: jeden bus, dwa? Problemem był brak kierowców. Z Sycowa do Charkowa jest 1500 km, na taką trasę potrzeba dwóch na samochód. A tu jakoś nikt się nie kwapił. Nic dziwnego, media codziennie informują o nowych bombardowaniach.

„Nie chcę nikogo narażać. Pojadę sam, czterema busami” – proponuje ks. Rafał Miller.

„Jasne. Na sznurku je będziesz ciągnął” – odpowiadam.



Tydzień przed planowanym wyjazdem zgłasza się Mikołaj Stadtmüller z wrocławskiej parafii Opatrzności Bożej (nomen omen!). Ma do przewiezienia generator prądu dla zaprzyjaźnionej rodziny, a przy okazji dysponuje dostawczym fordem i wolnym weekendem. Czyli będą dwa auta i czterech kierowców: ksiądz Miller, jego przyjaciel Jarosław Kamiński, Mikołaj i niżej podpisana. Co do mnie – jestem rozdarta: ze względu na dziec-

ko skóra mi cierpnie na myśl, że mogłabym wylecieć na minie gdzieś hen, daleko. Co komu pisane, to go nie minie – nie my o tym decydujemy. Podjęcie decyzji to zawsze ulga.

Czwartek – szaleństwo pakowania. Ponad 350 pakietów z żywnością, chemią, rzeczami dla dzieci. Paczki od Diakonii Polskiej, od prywatnych darczyńców, cały ten towar musi się znaleźć w dwóch samochodach. Nośić pomagają pracownicy zaprzyjaźnionej firmy i mieszkający na plebanii Ukraińcy. Do każdego pakietu dołączona jest kartka z pozdrowieniami, w pisanie kartek zaangażowały się zaprzyjaźnione szkoły z Cieszowa,

Milicza, Wrocławia, Sycowa, parafie i osoby prywatne. To miał być taki ciepły gest, żeby te paczki nie były bezosobowe, żeby ci ludzie wiedzieli, że ktoś o nich myśli.

Piątek, czwarta piętnaście

Wybiegam z domu z plecakiem, zgarniając po drodze co się jeszcze może przydać: srebrną taśmę, zwykłą taśmę klejącą, nożyczki. Wsiadam do auta, Mikołaj patrzy ze zrozumie-



„wplynąłem na suchego przestwór oceanu” nie było poetycką przesadą, to naprawdę tak wygląda! Mijamy pogrążające się w mroku miejscowości, w jednych świeci się w oknach, w innych nie. Natomiast nigdzie nie działają uliczne latarnie, co zrozumiałe przy niedoborach prądu.

Wieczorem docieramy do biblioteki miejskiej w Radziwił-

niem: „A ja mam maczetę, siekierę i młotek. I zapalki”.

Pastor i Jarek w fiacie ducato czekają na nas przy S8. Ruszamy w stronę Warszawy, Lublina i przejścia granicznego w Zosinie nad Bugiem. Oba samochody wylądowane do granic możliwości „pływają” po szosie, w ducato trzeba dopompowywać opony. Pogoda dobra, humory też. Do granicy docieramy koło trzynastej. Mamy list polecający od Ewangelickiego Bi-

skupa Wojskowego i pismo do Konsula Ukrainy, więc liczymy, że uda nam się szybko przejechać. Po stronie polskiej nikt nam nie robi problemów, jednak szybko okazuje się, że ani plakietki z czerwonym krzyżem, ani listy polecające nie robią wrażenia na ukraińskich celniczkach. A co, a kto, a ile paczek, jaka waga, pochodzenie, dokładny adres, pod który trafią, nazwiska kierowców... Wypełniamy formularze, ciągle coś nie tak. Po niemal dwóch godzinach panie, syte władzy, pozwalają na wjazd. Z wrażenia samochód Mikołaja nie chce odpalić, ruszamy na pych.

W Radziwiłłowie czekają dzieci

Jedziemy przez południowy Wołyń w stronę Brodów i Radziwiłłowa popędzani telefonami znanej nam z Sykowa Maszy: „Gdzie jesteście, tu dzieci czekają!”. Merostwo Brodów i Radziwiłłowa ma pod swoją opieką prawie setkę osieroconych dzieci w różnym wieku z Chersonia i Mariupola. To do nich trafi część naszych paczek.

Powoli się zmierzcha, ale jeszcze trochę widać przestrzeni, która zapiera dech. Zdaję sobie sprawę, że mickiewiczowskie

łowie, gdzie czekają na nas dzieci z opiekunami i mer miasta. W budynku jest jasno i ciepło. Masza z córkami i synkiem mieszkała u nas na plebanii przez sześć miesięcy. Wróciła do domu i teraz pomaga organizować pomoc dla potrzebujących. W sali biblioteki krótka część oficjalna, ks. Rafał Miller zapewnia zgromadzonych, że ich nie zostawimy, mer w podziękowaniu wręcza pamiątkowe gadżety. Uściski, wspólne zdjęcie, dzieci już trochę się nudzą.

Pozostałe paczki dla tego rejonu zostawiamy po sąsiedzku w budynku Rady Miejskiej Radziwiłłowa. Stamtąd zostaną odpowiednio rozdysponowane.

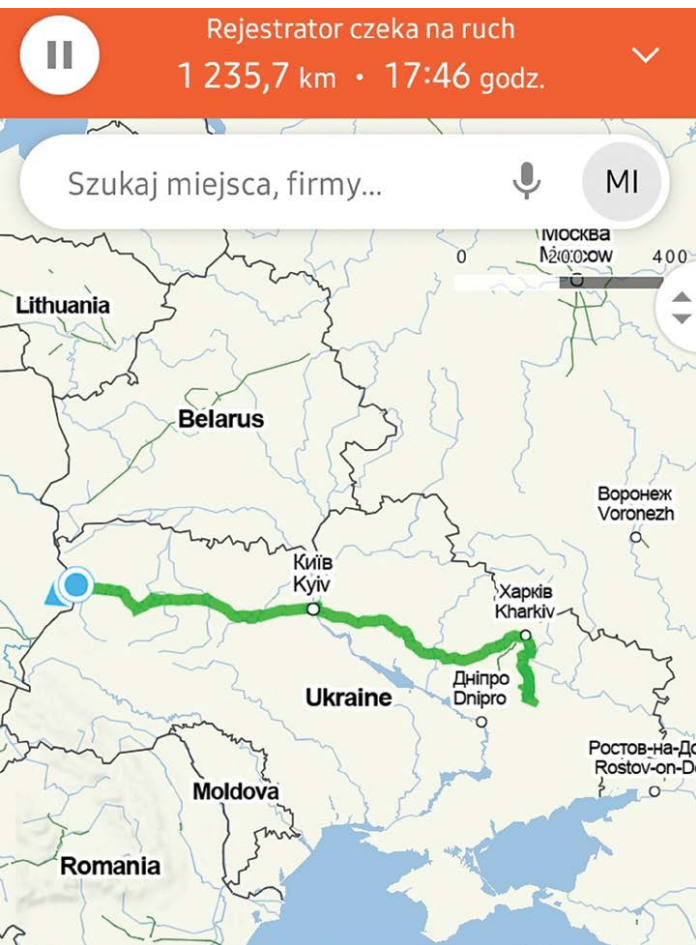
Maria zaprasza do swojego domu na kolację. Mamy zatem chwilę odpoczynku przy barszczu, kanapkach z łososiem i smażonych ziemniakach. Gospodarze nie jedzą. Rozmowy, opowieści – jak nad ogródkiem przelatowały rakiety, czyj syn służy na froncie. Poznajemy młodzieńką wolontariuszkę, która troszczy się o ośrodki dla dzieci – dom małego dziecka w Równem i szkołę specjalną w Dubnie. To dla nas adresy do zapamiętania, może udałoby się coś zorganizować długofalowo?

„Może zostaniecie na noc?” – proponuje Masza, gdy coraz częściej zerkamy na zegarek.

Propozycja kusząca, ale jeśli zostaniemy, cały plan nam się sypnie. Rano musimy być w Charkowie, a to jeszcze przeszło 800 km.

Bez nawigacji ani rusz

Jest ciepło, gwałtowna odwilż, na poboczach leżą resztki topniejącego



śniegu, znad pól unosi się mgła. Bez nawigacji tu ani rusz: drogowscy nad autostradą pracownicy zamazane farbą, inne zdjęte. To jeszcze na początku wojny Ukraińcy zrobili „porządki” dla zmylenia putinowskich najeźdźców. Szeroka czteropasmówka, prawie pusta, spotykamy tylko pojazdy wojskowe i tiry, czasem przemknie auto na sygnale, karetka lub coś z czerwonym krzyżem.

Przed miejscowościami „checkpointy”, czyli wojskowe punkty kontrolne, zapory i barykady, które trzeba mijać slalomem. Przy nich prowizoryczne schronienia od deszczu i śniegu, często z wystającą na zewnątrz rurą piecyka. Żołnierze sprawdzają paszporty, wszyscy mili i życzliwi. Język polski, a może i koloratka ks. Rafała Millera widoczna spod swetra otwiera tu wiele drzwi. A może i widok kobiety za kierownicą o drugiej w nocy pod Kijowem?

„Nie macie przepustki, ale ja was puszcza” – wojskowy zlustrował nas, samochody oblepione czerwonym krzyżem i logo Diakonii, i machnął ręką, żeby jechać.

We mgle centrum ukraińskiej stolicy wygląda nierzeczywiście, mającą tylko kształty budynków na wzgórzach. Przejazd przez Dniepr wzmagą poczucie absurdu. Wyobraźcie sobie Wisłę w Płocku, tylko trzykrotnie szerszą!

I znów autostrada, i wiele kilometrów prosto. Koło czwartej rano zjeżdżamy na stację benzynową przespaci się trochę. Chłód poranka, kanapki żony Mikołaja oraz adrenalina stawiają nas na nogi, ruszamy dalej. Niebo powoli jaśnieje. Do Połtawy dojeżdżamy już za dnia. Coraz więcej wojska, coraz więcej umocnień wzdłuż drogi.



Od lewej: ks. Rafał Miller, Mikołaj Stadtmüller, Jarosław Kamiński, Natalia Karnecka



W pewnym miejscu nawet coś jakby okopy. Ruch na szosie większy, przybywa aut cywilnych, wśród nich zażytki motoryzacji: żiguli, łady, wołgi.

Dotrzeć tam, gdzie pomoc nie dociera

W końcu Charków. To, co mijamy za oknami samochodu przypomina trochę Łódź lat 90. ubiegłego wieku w rozmiarze 3XL. Miasto żyje w miarę normalnie: działają sklepy, jeżdżą trolejbusy, ludzie tłoczą się na przystankach. Gdyby nie powybijane szyby w niektórych budynkach czy osmalone fasady, można by pomyśleć, że nie ma wojny. Pod galerią handlową przy Prospekcje Gagarina ma na nas czekać Larissa Livertes z Charkowskiego Okręgowego Centrum Służb Społecznych (ukraiński odpowiednik ośrodka opieki społecznej). Lara była we Wrocławiu przez pewien czas, ale wróciła, ma pod swoją opieką między innymi rodziny zastępcze, nie tylko w mieście, ale w całej oblasti, czyli obwodzie. Poza duże ośrodki pomoc rzadko docie-

ra, więc tam właśnie chcemy dotrzeć my. Towarzyszy jej młoda pracownica Anastazja Malisheva. Ponieważ są dwa samochody, rozwieziemy towar od razu w dwie strony. Mikołaj z Larą ruszą na południe od Charkowa, w kierunku Merefy i Pierwomajskiego, reszta z Anastazją pojedzie na północ. Na parkingu przepakowujemy rzeczy z samochodu do samochodu.

Na wszystkich mostach i wiaduktach dyżurują żołnierze. Nie zawsze można ich dostrzec w strugach deszczu, owiniętych pelerynami, ale są. Ruch samochodowy spory. Trzeba uważać, bo Ukraińcy jeżdżą z isticie południową fantazją. Pierwszy przy-

stanek grupy „północnej” – szarobure osiedle bloków jeszcze w obrębie Charkowa. Wielkim busem ledwo daje się manewrować w wąskiej alejce. Paczki, ze 20 sztuk, po 10 kg każda, trzeba wnieść po schodach na piąte piętro. Potem, zasapani ruszamy dalej, w kierunku Sum.

Za miastem boczne drogi wyglądają jak w filmie *Daleko od szosy*, utwardzone dość przypadkowo albo wcale. Z powodu deszczu i roztopów pojawia się też osławione ukraińskie błoto: możemy wierzyć, że potrafi zatrzymać wrogą armię. Najwięcej takich przeżyć ma Mikołaj, który błąka się po małych wioseczkach na południowy wschód od Merefy, bliżej frontu. Tam już podobno go słyszeć.

Rozmowy przy stołach

Zaplanowaną na kilka miejscowości trasę północną Anastazja po konsultacji z szefową decyduje się skrócić – odległości są duże, możemy nie zdążyć z powrotem przed godziną policyjną. Nasz ładunek zostawiamy

w domu kultury w S., stamtąd rozdyponuje się pomoc dalej. Zawracamy do Charkowa, musimy odwieźć naszą przewodniczkę, potem dostarczyć paczki prywatnie rodzinie naszych rezydentów z plebanii, a wreszcie dotrzeć na nocleg u Dimy, policjanta. Mikołaj zostaje na noc u przyjaciół, którym zawiązał generator.

Wszędzie, gdzie trafiamy, jest ciepło, nie tylko od kaloryferów, także od ludzkich rozmów i gościnności. W mikroskopijnej kuchni Aliny jemy barszcz, pierogi z ziemniakami i sało, czyli słoninę. U dziadków Dimy barszcz, ziemniaki z grzybami i rybę. Gospodarze nie jedzą. Towarzyszą nam tylko i rozmawiają. O tym, czy lepiej się bać, czy się nie bać. Że trzeba starać się jakoś żyć, mimo wszystko. Anastazja, nasza towarzyszka z opieki społecznej, dwudziestolatka tuż po studiach, która spędziła całą wojnę w Charkowie, opowiada jak na początku wojny w czasie alarmu zeszała z rodzicami do metra. „Moja mama, gdy zobaczyła tych wszystkich ludzi tłoczących się tam w panice, nakręcających się nawzajem, to oświadczyła, że ona tam nie zostanie, »Wracamy do domu«, zarządziła. I wróciliśmy. Choć są stacje metra do tej pory wyłączone, bo ludzie jak tam weszli w lutym, to nie chcą wyjść, tak się boją” – mówi.

Wszyscy przyznają, że w czasie wojny działalność służb komunalnych bardzo się poprawiła. Korupcja jakby zmalała. Walentin, dziadek naszego policjanta, tłumaczy to tak: „Najwięksi złodzieje to już dawno zwiiali za granicę, zostali ci porządniejsi”.

W przytulnym drewnianym domku dziadków Dimy, jakby wyjętym z przedmieść, choć to środek Charkowa, rozmowy toczą się po rosyj-

sku. „Mam 71 lat – mówi Walentin – gdzie mnie uczyć się nowego języka? Nie język ważny, ważne to co jest tu – klepie się dłonią w czoło i w pierś. – Ja Ukrainiec, choć mówię po rosyjsku”.

Język, narodowość, to wszystko takie nieoczywiste w tym przygranicznym rejonie z poplątaną historią. Można się długo nad tym rozwodzić, przeżywać dylematy, lecz kiedy leci na twój dom rakietą, wszystko staje się proste. Przypomina mi się tu pewna scena. Ksiądz wręcza paczkę z żywnością osiemdziesięcioletniej babusz-

ce. Przyda jej się. Starość nawet bez wojny jest tu okropna. Staruszka jest zaskoczona i ucieszona, choć zakłopotana jednocześnie. „Ale ja Rosjanka...” – mówi przepraszająco. Jak to pisał apostoł Paweł? „*Nie masz Żydani Greka*” (Ga 3,28).

To też ich wyprawa

Niedzielny poranek. Zajeżdża Mikołaj, znów jesteśmy w komplecie. Żegnamy drewniane domki z podwójnie łamanym dachem, w ogródkach za parkanami, przy drodze obsadzonej wiśniowymi drzewami – wiosną, gdy kwitną, musi tu być pięknie... Uściski, pożegnania („naprawdę nie chcecie pierogów na drogę?”), podziękowania (nie wiadomo kto komu bardziej) i rytualne ukraińskie życzenie-błogosławieństwo, które składamy sobie nawzajem: spokojnego nieba nad nami.

Przez bezkresne pola Ukrainy – na niektórych trwają jeszcze zbiory kukurydzy, przez niekończący się Dniepr, korki w zalonym deszczem Kijowie – do domu. Granicę w Zosinie osiągamy koło północy, zaczyna się poniedziałek.

Za naszym wyjazdem stał cały sztab ludzi, tych, którzy wsparli nas pieniędzmi, darami, troską, dobrym słowem, pakowali paczki, załatwiali kontakty i noclegi, pożyczili telefon, pokazali, jak działa Viber i Telegram, doładowywali ukraińską kartę SIM, zaznaczyli charkowskie adresy w nawigacji, ułatwili przejazd przez granicę, martwili się. Wszystkim tym osobom – wielkie dzięki! To jest też ich wyprawa, bez nich by jej nie było.

„To co, za pewien czas szykujemy następny transport?”

„Jasne”.

□

zdjęcia
Mikołaj Stadtmüller,
Jarosław Kamiński

